Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 23. Poznań, dnia 7. Czerwca. 1841.

Literatura zagraniczna.

Versuch einer vollständigen Thierseelenkunde,
von
P. SCHEITLIN.
Zwei Bände. Bei Cotta. 1840.

(Dalszy ciąg.)

W psychologii zwierząt dwa zaraz na wstępie nastręczają się pojęcia, które wyjaśnić autorowi wypadało: co jest psyche (dusza) w ogólności i jéj bliskoznaczniki, duch, życie, siła żywotnia; powtóre jaka jest ogólna cecha zwierząt, którą się od innych tworów natury wyróżniają. Autor oba te pytania rozwięzuje ze zasad fizyologicznych, i definicye swoje opiera na zmysłowych poznakach. Na takiém stanowisku pierwsze przynajmniéj pytanie nie dało się do zadowolenia rozwiązać. Widać wyraźnie, że sobie tu autor poradzić nie mógł. W przytoczonych przykładach wywodzi trudności znalezienia pierwiastku duchowego, omija je nareszcie i na zbyt ogólném przestaje określeniu żywota, nazywając go działaniem samodzielnego pierwiastku w celu utrwalenia tego działania. (So können wir den höchsten Charakter des Lebens »ein regelmäßiges Wirken aus einem selbstthätigen Prinzip nennen, dessen Ziel die Fortdauer des Wirkens ist.« Str. 25.)

Równie niedostatecznem wydaje się wyróżnienie królestwa zwierzęcego od innych królestw przyrodzonych. Autor okazawszy niedostateczności dotychczasowych definicyi zwierząt, upatruje w tém najrzetelniejszą ich cechę, że każde zwierze ma sąd o rzeczy. Sąd ten pokazuje się w czynieniu wyboru (Unterscheidungsgabe). Ani minerały i ziemie, ani rośliny nie mają sądu, i dla tego dają się nagiąć na postacie, jakie im człowiek lub okoliczności przypadkowe nadadzą; zaś zwierz, choćby wymoczek tylko, nie ugina ustroju swojego pod wpływem jakimkolwiek, ma sąd o rzeczy, bo nie suszy, ale kropli cieczy szuka, gdyż w niéj życia jego żywioł. Im doskonalszy zwierz jaki, tém władza sądu wyższa. Naturaliści powszechnie sąd ten u zwierząt instynktem przezwali. Wszakże to wyraz nic nie tłumaczący. Sąd raczéj jest objawem siły żywotnéj zwierząt, która tą cechą nabiera znamienia duchowości i jest podstawą psychologii zwierzęcéj.

Na pozór zdaje się istotnie, że autor odgadł całą tajemnicę przyrodzenia, i że tą władzą czynienia wyboru między tylu myryadami tworów i żywiołów, wybierania z nich właśnie tylko tego, co ku utrzymaniu życia i działaniu żywota jest potrzebne i przydatne, a okazywania wstrętu do wszystkiego innego, co jest szkodliwe i niepożyteczne, zwierzęta stanęły na wyższym szczeblu przyrodzenia, i wyróżniły się od reszty tworów ziemskich. Atoli wielkie zachodzi pytanie, na które autor nie zważył wcale, czyli to robienie wyboru (diese Unterscheidungsgabe) jest skutkiem namysłu, myśli, co rzeczywiście dopiero byłoby sądem i objawem duchowości; czyli też, że zwierz o robieniu takiego wyboru całkiem nie wie, i wybiera, co mu przydatne, a odrzuca, co naturze jego przeciwne, w skutek tego samego działania natury, albo siły żywotnéj, która go z zarodu nasiennego takim a nie innym utworzyła, która mu dała te, a nie inne narzędzia, ten a nie inny sposób życia.

Boć jeżeli tylko o robienie wyboru między rzeczami chodzi, to i rośliny i kamienie tą samą obdarzone są władzą. Nie byłoby różnicy ani gatunków w królestwie kopalném i roślinném, gdyby rozwijanie się i wzrost tych tworów, od dowolnych zależał żywiołów. Ani kamień, ani kruszec nie rośnie dowolnym zbiegiem jakichkolwiek cząstek; ani roślina ssie w siebie korzonkowémi włóknami dowolne części ziemi i cieczy. Nie urośnie tam drzewo owocowe, gdzie rosną mchy i porosty; nie zejdzie tam nasienie kwiatów ogrodowych, gdzie schodzi trzcina i lilie wodne, i żyła rudy srebrnéj nie powstanie, gdzie powstały pokłady soli. Jeżeli więc polip wyciąga ramiona swoje nie po listki, co się o jego ciało trącają, ale po owady, co w koło niego oblatują, i złapawszy je prowadzi do żołądka; to i roślina

cieniuchnémi włóknami swémi zapewne nie lada cząstki ziemi, w którą utkwiona, prowadzi w górę i zamienia w soki swoje.

Oba powyższe pytania nie są przecie tak stanowcze, aby od nich dalszy rozwój systemu p. Scheitlin zależał. Można je raczéj za przedwstępne uważać, za przysionki, nie za podwaliny gmachu. — W 14stym, 15stym dziale wyjaśnia autor psychę świata, a potém w szczególności psychę zwierząt. Przepływa tu pomiędzy dwiema niebezpiecznémi wirami, między panteizmem i materyalizmem.

Bóg jest wiecznėm objawieniem się siebie samego. Sąd jego ze wszech miar jest doskonały i zupełny. Tym sądem wszystko najlepiéj dobrane i urządzone, tym sądem Bóg wie się innym od stworzenia. On jest zupełną nieograniczoną całością, wszystkie inne światy i twory, są całości, ale względne, cząstkowe, ograniczone. Każda całość jest tylko narzędziem, organem, środkiem większéj całości. Taką całością jest ziemia nasza; czyli ma życie, żywot, siłę żywotną, duszę ziemską, ani wątpić wypada, lubo pojąć trudno; gdyż co życie tyle tworom żywotnim daje, samo nie może być martwe.

Tu autor ważny wyprowadza pomysł, który wszakże tylko jako hipotezę przyjąć można, że wszystko życie tworów ziemskich jest wypływem życia ziemi saméj; że psyche ziemska jest regulatorem wszystkich psychologicznych pojawów. Ona wyprowadziła ziemie i kamienie, okryła się roślinami, wysłała z łona swego sta tysięcy gatunków tworów żywych, rozpołożyła je po sobie wedle klimatu i żywności, opatrzyła twór każdy w to, co mu potrzeba; naznaczyła w chorobach ludzkich i zwierzęcych dni krytyczne; tworzącym i rodzącym się tworom oznaczyła czas, w ktorym albo z jaj, albo z żywota samego zwierząt samiczych wydobywają się dojrzałe w ustrój; nakoniec tworom wszystkim zakreśliła czas żywota, jednym wieki, drugim godziny przeznaczywszy. Nie raz dziwaczna jest w tworzeniu ustrojów. Jest gatunek ryb, co mają oba oczy po jednéj stronie. Wszystko na ziemi potrzebuje wypoczynku; ona sama tylko w nieustannėm czuwaniu ruchu i tworzeniu. Psyche ziemska na podobieństwo pająka wysnuwa wszystko ze siebie i ową koncentryczną sieć tworów wszelakich do siebie wiąże i ze środka utrzymuje. Wlała w twory wszystkie, dwie główne siły, niby nici pajęcze, którémi przyciąga je do siebie, to jest popęd do życia i popęd do odradzania się, wszystkim tworom przyrodzone.

Autor, wystawiwszy takie działanie psychy ziemskiéj, tak się daléj od panteizmu słoni (str. 338. i n.): »Czémby zaś była owa psyche ziemska co do istoty swojéj; czyli to jest żywioł materyalny, czy eteryczny, czy duchowy, ale jednoisty; czyli też jest dwójnią żywiołów, dla tego, że wszystko, co jest na ziemi dwoistą ma naturę, nie wchodzimy. Pomijamy zatém i materyalistów i spirytualistów wyobrażenia, które z atomów złożoną sądzą być materyą i ducha; pomijamy dualizm Kartezyusza przypuszczający materyą i ducha w osobni, których połączenie jedynie wpływem Boga się odbywa. Także nie obchodzi nas, czyli pod względem formy w naturze mechaniczny panuje porządek rzeczy, czy też przypadkiem wszystko się odbywa; bo to są mrzonki filozoficzne. Ale przyjmujemy, że jest siła duchowa w ziemi naszéj, objawiająca się i działająca na wszystkich punktach globu; obok gwiazd i słońca działacz najpotężniejszy we wszystkich żyjątkach, od robaka począwszy aż do człowieka, który wszystkim tworom osobne powyznaczał stanowiska, i stósownie do tych stanowisk ustroił i ułożył.

Wieczną atoli będzie to nam tajemnicą, w jakim związku duchowość ziemska, z duchowością innych planet i słońc zostaje, w jakim mianowicie stósunku zostaje do Boga (którego więc autor chce mieć wyróżnionym od twórczéj istoty ziemskiéj). Równie niepojętém będzie dla nas, jak się duchowość ta w ziemię naszą przeoblekła, niby bóstwo małe w małym świecie, jak się tworom swoim udziela, i czyli po rozprzężeniu się życia tworu jakiego, ów udział, czy ulew siły żywotniéj ziemskiéj, do niéj się wraca. Może w chwili skonu, przynajmniéj u doskonalszych zwierząt, odzywa się przeczucie innego żywota. Człowiek najpewniéj silną wiarą wytęża ducha swego ku przyszłości, gdy się z życiem doczesném rozstaje.« i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Witanie wiosny.

Fantazya.

Wiosna powraca nam kwiatorodna,
Pod niebem pieśń swą skowronek dzwoni,
A w pierś znów falka dmucha łagodna
Wietrzyka, co za swobodą goni.

Ja.

Witaj, o witaj na polskich smugach,
Gościu wietrzyku! wiosnę wyścigasz,
Budzisz zaspaną krzewinę w ługach
I w trawki dmuchasz i zgięte dźwigasz.

Na słów tych chór
Zagrał swawolnie wiatr w zeschłe liście,
Toczył je ku mnie, szumiał na wtór,
I takim głosem wieścił swe przyjście:

Wiatr.

Zdaleka lecę, ja wiosny dziecię,
Przyjmcie aniołka, wonny i ciepły —
Z kwiatami błogość sypię po świecie,
Budzę i pieszczę kraj wam okrzepły.
I dmucham, szepcę, nieśmiałéj trawce,
Że wiosna już — niech ocknie się,
Niech wytchnie główkę, posłucha mnie,
Ośmielę trwożną w płochéj zabawce.
Wysłałem naprzód gońca skowronka,
W łzy teraz topię śniegi zimowe,
A zwiewam chmury z waszego słonka,
I zaraz drzew wam rozliścię głowę,
I ptasząt chór
Zadzwoni w gaju
O krasnym Maju,
A muszek cichych brzęknie im wtór.
W pierś zaś człowieka weselem wionę
I powiem mu:
Spiesz się, używaj — wstań z swego snu,
Puść na me fale myśli zmrożone —
Tak Ukraińca wyrwę z zadumy,
Zrzuci z swéj myśli ciężkie tęschnice,
Hulając w stepie przy dźwięku dumy,
A kąpiąc we mnie swobodne lice.
I zbudzę słodką pieśń Galicyanek,
Nad Wisłę świsnę,
Owieję z zimy myśl Krakowianek,
Z duszy poety dumę wycisnę,
Orzeźwię wszędzie serca ściśnione,
Wszędzie tęschnice rozdmucham z wiosną,
Wy zaś za trudy chętnie łożone
Może rzucicie pieśń mi radosną.
A potém — potém do was polecę,
Gdzie Litwa biedna, ściąga ramiona,
I sama jedna
Pod zimnym wichrem siedzi zmrożona.
Muszę jéj przynieść świeżuchną wiosnę,
Muszę ją rozgrzać u mego łona,
Kowieńskich dolin rozchuchać puchy,
Zbudzić słowika dumy miłosne
I w włos zielony odziać las suchy.
A ona za to, ona nieboga,
Rzuci mi może pieśń swego wieszcza:
Ja ją oddechem mym w niebo pchnę,
Niechaj radują się tam anioły,
Że wieszcz, cudowny jasnowidz Boga,
Światłość niebiańską na myśli swe,
Strąca i niebo w duszy wypieszcza,
Sam pół na ziemi, w niebie na poły.

I w chatkę biedną ciszkiem się wcisnę,
Opieszczę tchem mym serce poczciwe,
I powiem mu:
Jam z wiosną tu
Zesłan pociechy nieść ci prawdziwe
I z szczerą wieśniaka piosenką w świat świsnę:
A ztamtąd daleko na północ polecę,
Tam lody przy piersi méj stopię, poruszę,
I życie leniwe, zaspane podniecę,
Tam wierz mi, nie jednę tęschniącą znam duszę.
Lecz ścigać mnie będą w lot skwary czerwcowe,
Zapłacze mnie chmurka deszczykiem wiosennym,
A słońce podniesie królewską swą głowę
I chmurkę przepruje wskroś okiem promiennym,
Jak woń się rozleję — jak śnieżek stopnieję,
Skonam jak brzęk,
Niby słowiczéj muzyki dźwięk,
W ostatnim, lubym, łabędzim tchnieniu,
Co w waszém ozwie się znów westchnieniu,
I zatęschnicie wrychle do Maju,
Marzyć będziecie o jego raju,
Aż znowu z wiosną matką wskrzeszony
Przylecę pieścić tu wasze strony.
Lecz teraz kruszę kajdany Wisły. *

Tu lody prysły
Z hukiem — a długo więziony prąd
Zbudzon, rozszalan, darł się na ląd
Przez grzbiet, co pęknął z strasznym łoskotem,
I trzy mogiły powitał grzmotem.
A Wisła zmarléj przeszłości wdowa,
Przyszłości oblubienica,
Modre wytknąwszy ku niebu lica
Takie na wiatry puściła słowa:

Wisła.

Kto budzi mnie?
I płoszy złote snów mych marzenia,
Ocuca, kiedy o szczęściu śnię,
Że aż kląć muszę chwilę zbudzenia?

Wiatr.

Przebacz mi Wisło — ja to syn wiosny
Zdmuchnąłem śniegi, stopiłem lody,
Bom chciał motyléj użyć swobody
I poswawolić nieco radosny.
Chciałem całować modre twe lica,
I lekko falić płoche twe wody
Wypogodzone jak twarz księżyca.

Wisła.

Płocha dziecino! aniołku mały,
Tyś mi rozkoszne rozpłoszył sny —
Posłuchaj mnie —
Ja wód tu pani i prakrólowa,
Świat już mam wspomnień na moim dnie;
Burze mną trzęsły i szamotały,
Wielkość rozdmuchły — ja przecież wdowa
Żyję i jeszcze toczę me łzy,
Tęschniąc do lepszéj, wielkiéj przyszłości,
Gdzie płakać będę, lecz łzą radości.
Mnie miła moja z lodu komnata,
Gdy w niéj się zamknę, jak w jakiéj trumnie,
Przeszłość ogromnym wieków strumieniem
Toczy przez pamięć mą dni i lata
I cudne widma wysyła ku mnie,

Tak że się wtapiam w świat pogrzebany
I stwarzam sobie przeszłości życie,
Lecz sen mój pierzcha tchem twym przegnany,
Jak rozdmuchniona chmura w błękicie —
Przerywasz ciche moje dumania,
Żenisz mnie z światem pustym i smutnym,
Aby odłudził mnie tchem okrutnym,
To jest przyczyna mego łajania.

Wiatr.

Poczekaj chwilkę, Wisło tęschniąca,
Niechno wypieszczę wiosenną dziatwę,
Wesele zaraz będzie ci łatwe,
Wiesz, krasa Maju tęschną myśl strąca.

Wisła.

Tak — znowu świat
Ocknie się — włoży wieniec wiosnowy,
Wytchną kwiateczki miluchne głowy,
Ale nie dla mnie — bo srogi grad,
Skaził im szczęście — schłostał mą wiosnę.
Kiedyż, ach! kiedyż witając cię,
Ronić łzy będę, ale radosne! —
Tu zakipiała na swoim dnie
I buchła falą razem z westchnieniem,
Fala z głębokim, cichym uczczeniem
Święte Wawelu stopy płokała
I zadumane toczyła wody —
Czy żal jéj było błoniów urody?
Nie wiem — lecz wkrótce z dumań zbudzona,
Groźniéj zawrzała, jak żalem wzdęta,
Buchła bałwanem z płowego łona,
Niby zatopić chciała Warszawę —
Lecz nazad zapęd znów zhamowała
I tylko słysząc miastową wrzawę,
Dziką jéj pieśnią zawtórowała.
Daléj zdąsana brzegi Modlina,
Tłukła lodami, zwróciła się,
W szalonym biegu ulgi szukała
I poszła topić tęschnice swe
W bursztynowego morza otchłani,
Łzy i szemrania niosąc mu w dani.

Wiatr.

Przynajmniéj matko ty utroskana
Przyjmiesz pociechę — odpowiesz mi —
Skarga twa falą już precz porwana,
A dech mój twoje wypija łzy.

Matka.

O dzięki ci!
Chcesz rozkołysać matczyne żale
I dmuchnąć ciężkie ze serca fale,
Lecz marna praca — powróć wpierw syna,
Co go wydarli, i w skrzepłéj ziemi,
Może już w grobie ziębnąć zaczyna,
Lub z tęschnicami żyje swojemi.
Pijesz łzy moje, wypij westchnienie,
Zanieś mu jeszcze żalem gorące,
Od serca matki na pozdrowienie,
Nieostudzoną skargą kipiące.
Wiedz, że nieboga,
Za nim pocieszę myśli tułacze,
Pierwéj ze łzami duszę wypłaczę
I pójdę błagać za Synem Boga.

Wiatr.

Więc do więziennych polecę krat,
Ciężkie westchnienie tchem tam rozwieję,
Szepcąc, że z wiosną wracam nadzieję,
Że leżącemu tam na barłogu
Pamięć, pociechę przesyła świat,
Aby wielkiemu poufał Bogu.

Więzień.

Czuję, ach, czuję wiatr jakiś świeży,
Rozwiewa stęchłość mego więzienia,
Cóż ożywczego w tchu jego leży,
Szepce mi ścicha hasło zbudzenia:
Próżno — acz pierś ma wolniéj oddycha,
Serce rozdarte męką tęschnoty,
Jest jak łachmany zgniłéj odzieży,
Oczy stępiały w mrokach ciemnoty,
Rdza mi na myśli schorzałéj leży,
Marnie więc wietrze drażnisz swobodą ·
Poleć szczęśliwszych cieszyć pogodą,
Ja tylko żale mogę dać tobie,
W nich szuka ulgi serce me wdowie,
Weź je skąpane w mojéj żałobie,
Niechaj rodzina o mnie się dowie.

Wiatr.

Więc ty dziewico jeszcze świeżuchna,
Niepokalana jak dzionek Boży,
Ty przyjmij mnie,
Przyjm jak motylka kochanka róży,
Jeszcze tęschnice twoje lekkuchne
I wraz je wezmę na skrzydła me.

Dziewczynka.

Chciałabym szczerze dać uśmiech tobie,
Luby pieszczoszku siostry méj wiosny,
Lecz w około mnie wszyscy w żałobie
I śpiew urywa mi się radosny.
Matka w tęschnicy po moim bracie,
Co przed dziesiątkiem legł mówią lat,
A starsza siostra płacze w komnacie,
Za narzeczonym, co jak wygnaniec
Poszedł z innemi w daleki świat,
Czyż więc przystoi mi śpiew i taniec?

Wiatr.

Lecz ty młodzieńcze przyjmiesz mnie mile,
Nad tobą świeci gwiazda przyszłości,
Maszże więc ronić życie motyle
I tonąć w dumach? — posłuchaj mnie —
Niech dusza twoja w niebo się pchnie,
Zachwyć nektaru z kwiatów radości.

Młodzieniec.

Myśl moja chyża, płocho latała,
Nim jéj niedola odarła pierze —
Stał dąb, lecz burza Maj zeń zerwała,
Po nim żal w kręgi serce me bierze.

Dusza nieszczęściem wcześnie zmężniona,
Pracuje z znojem na plon przyszłości —
Odpycha cacka od swego łona,
A garnie w uścisk ogrom ludzkości.

Wiatr.

Jeszcze do ciebie lecę, poeto,
Co bujasz sobie, jak mądra pszczołka,
I cucisz szczęście łatwą podniętą,
I pijesz słodycz z żywota kwiatów:
Ciesz się — wiosnowa wraca jaskółka
I zaraz przepych dam ci bławatów.

Poeta.

Bluźnisz o wietrze! słowy twojemi —
Nie wiesz niebaczny, dusza poety
Jest jak cudowna harfa Eolska
Brzemienna dźwięki nieśmiertelnemi,
Świat na niéj płaczem i szczęściem gra,
A świat mój smętny, jak pieśń podolska,
Jęczy, bo dola ciśnie go zła:
Miałżebym cieszyć się dziś niestety!
Nie drażń więc serca, nie żądaj pieśni,
Bo będzie dzika, jak rozpacz ma,
Czarna jak ściany więziennéj cieśni,
I nie wytrzyma jéj dusza twa —
Szukaj szczęśliwszych, ja dzisiaj w drogę,
Tylko żal gorzki dać tobie mogę.

Z r. 1841. †.

Ordery w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Całkiem inne wyobrażenia rozwijały się na ziemi sławiańskiéj, a wolność i równość były to dwa wielkie pierwiastki, na których kształciła się spółeczność; były to niejako rodzinne soki, które wnikały w każdą żyłę sławiańskiego ludu. Przy uosabnianiu się późniejszém pojedyńczych ludów wielkiéj sławiańskiéj rodziny w ściślejsze granice, musiały zachować u siebie te same wyobrażenia, które się na ogólnéj rodzinnéj pojawiały ziemi. Jeżeli się więc u nich uorganizowała władza i spółeczeństwo, odrębnie od tych wyobrażeń, były one niezwiązane z przeszłością, nie były jéj wypływem, lecz odbiciem obcych wyobrażeń i skutkiem okoliczności zewnętrznych. Cisnął się na Sławian od Elby i Odry niemiecki oręż. Sławianie uznali potrzebę koncentracyi sił, skupiania się większego podczas wojny pod jednym rządem, dla łatwiejszego odparcia najezdców. Nieustanne wojny nakazywały nieustanny odpór, potrzeba przeto przedłużała władzę naczelnika i ztąd się wyrodziła monarchia. Takie zcentralizowanie sił utworzyło Morawskie państwo, widzimy w Czechach związek sławiańskich narodów, a nareszcie w Polsce króla, w osobie Bolesława Chrobrego, otoczonego siłą i wydoskonalonemi wyobrażeniami monarchizmu. Jeżeli potrzeba było nowych wysileń i nowych ofiar, król czyli wódz je nakazywał. W około niego i na jego wezwanie gromadził się lud zbrojny na obronę swéj ziemi. Rozumie się, iż to był sam wybór narodu, ci, którzy najsilniéj uczuli w sobie siłę moralną, powołującą ich do obrony kraju, lub którym siły fizyczne dozwalały znieść trudy wojenne. Walcząc po większéj części z niemcami, przejmowali od nich nie tylko sposób wojowania i narzędzia wojenne, lecz także i obyczaje, a walcząc fizycznie na polu bitwy przeciw nieprzyjacielowi, pokonywali zarazem moralnie na wzór Niemców, tych swych spółziomków, którzy w domu pozostali. Powracając bowiem w swe rodzinne zagrody, mieli jakiś powód do wywyższania się, w czém im jeszcze złupione na wojnie bogactwa dopomagały, i ztąd to powstała szlachta.

Gdy się na dworach cesarza niemieckiego, króla francuzkiego i innych zachodniéj Europy, jakeśmy to wyżéj widzieli, tworzyć zaczęły zgromadzenia rycerzy, królowie Polacy, którzy przez władzę swą najwięcéj się zbliżyli z całego narodu do obcych wyobrażeń, brali także w tém rycerstwie udział. Bolesław Chrobry wraz z synem Mieczysławem byli rycerzami cesarza niemieckiego. Bolesław Kędzierzawy pasowany był na takowegoż rycerza przez wuja swego Brzetysława króla czeskiego, a wkrótce potém przez ojca Władysława Hermana. Będąc więc sami pasowani na rycerzy, nie mogli się zapewne oprzeć, temu podówczas wszędzie panującemu obyczajowi, i jak mamy niezaprzeczone ślady w historyi, kreowali na dworach swoich podobnych rycerzy.*) Znajdujemy także w Polsce owe pasy, łańcuchy i inne rycerskie oznaki, które ciż na dworze cesarzów nosili.**) W Niemczech to rycerstwo, szlachta i t. p. były już same przez się zarodkiem arystokracyi, czyli lepiéj się wyraziwszy, już jak najlepiéj uorganizowaną arystokracyą. W Polsce zaś na sławiańskiéj ziemi, w owych pierwiastkowych czasach, pod tém wyrażeniem szlachcic nie można rozumieć żadnego wyższego uprzywilejowanego stanu, i owszem nie było to nic więcéj, jak tylko lud wybrany, najzdatniejszy do boju. Bolesław Chrobry ciągle wojną zatrudniony, uzupełniał ich liczbę wyzwoleńcami, wy-

---

*) Długosz, Edyc. Lipska str. 124. mówi o Bolesławie Chrobrym: *Curiam denique suam, non solum militum et Baronorum praecipuorum, sed et libertorum, quos a servitute dissolverat, numero habebat stipatam et ornatam tantaque refertam frequentia, ut a specie justi exercitus parum differret. Cujus fretus robore facile hostiles insultus reprimebat.* — Marcin Gallus zaś mówi o Bolesławie Krzywoustym str. 59.: *Princeps tot cuneis clientelae stipatus ita magnifice procedebat.*

**) Gallus str. 64.: *Ejus namque tempore non solum comites, verum etiam nobiles torques aureos immensi ponderis bajulabant.* Tenże str. 68.: *Vos qui torques portabatis in signum militiae.*

jętémi ze stanu służebniczego,*) tworzył z nich pólki i oddziały wojskowe, i tocto było owe rycerstwo polskie czyli milicya, z którém każdego czasu mógł nieprzyjacielowi czoło postawić. Może być, iż rycerstwo polskie owiane było początkowo wyobrażeniami cudzoziemskiémi, lecz jakiekolwiek wywarło skutki w ościennych krajach, w Polsce przelało się całkowicie w porządnie urządzonych obrońców kraju i od téj epoki historycy rachują uformowanie stojącego wojska w Polsce.

Szlachta, były to niejako tylko próżne miejsca, które, aby przyjść do władzy wypełnione być musiały znaczeniem, które gdzie indziéj do tego wyrazu przypisywano. Trzeba było jeszcze wieków i różnych okoliczności, aby się ona w osobny stan zespolić mogła. Arystokracya w téj drugiéj epoce posłużyła jedynie tylko do oddzielenia się i wytknięcia granicy pomiędzy szlachtą i ludem, nie wpłynęła jednakże w życie téj wybranéj kasty. Rodzinny żywioł sławiański zacieśnił się tylko w obręb jednéj klassy mieszkańców, nie zgasł i wynurzał się najczyściéj w gminowładztwie szlacheckiém. Szlachcic w pokoju swą osobistą zdolnością dorabiać się musiał téj godności, którą na starość piastował. Oboz wojenny uważany był za szkołę, przez którą każdy młodzieniec aż do trzydziestokilkoletniego roku swego życia musiał przechodzić, aby wejść w grono swych spółbraci. Każdy biegł, walczył i poległ, nie wiedząc, iż postępek jego był tego rodzaju, iż mógł mu wyjednać nagrodę. Nie było jeszcze tak silnych granic pomiędzy stanami, aby je zdolność przekroczyć nie mogła. Cnota w pokoju, obrona ojczyzny na wojnie, były uważane za pierwszy obowiązek każdego człowieka, a miłość i zaufanie spółbraci stanowiły jedną i wyłączną nagrodę.

Lecz nadeszła nakoniec trzecia najsmutniejsza epoka, w któréj szlachta na podstawie arystokracyi, oddalając się coraz bardziéj od swych narodowych pierwiastków, odłączyła się nakoniec od narodu, i popuściła władzy. U ludu jedynie tylko przechowała się skarbnica narodowych wyobrażeń, uczuć, pamiątek, i przez tyle wieków i tylu gwałtami niezrażone, czyste i nieskalane serce. Lecz to byli tylko poddani szlachty, równi niewolnikom, im nie wolno było, być narodem, i ta to zarazem jest epoka upadku Polski. Nie było narodu, leżało tylko jeszcze chwilę śmiertelne ciało wielkiego męża, zimne serce nie zdołało ograzć otrętwiałych członków, a któż je mógł na nowo siłą żywotną napełnić? Nad głową tylko przyświecała dawna świetność, jako połyskująca gromnica w ręku konającego.

*) Długosz jak wyżéj.

W téj też epoce widzimy po raz pierwszy ukazujące się ordery i tytuły w Polsce. Ztąd widzimy, o ile są one przeciwne pierwiastkom narodowym; nie zdołały się rozkrzewić na ziemi, tylko na gruzach narodu, a ich wzmaganie i szerzenie się jest tylko najwidoczniejszą skazówką, przeżycia się i osłabienia narodowego. Używali wprawdzie królowie polscy cudzoziemskich orderów; Zygmunt stary pierwszy ozdobiony został przez Karola V. cesarza orderem złotego runa r. 1525., nosili go i następni królowie polscy, lecz Polacy żadnego orderu własnego nie mieli, ani też żadnym cudzoziemskim piersi swych nie obwieszali.

Pierwszy Władysław IV. król starał się zwyczaj ten zaprowadzić, i ustanowił order niepokolanego poczęcia Najśw. Maryi Panny, którego przepisy w skróceniu tutaj podajemy:

1) Członków miało być 72 prócz panującego, albowiem taką liczbę uczniów, podobało się wybrać Chrystusowi.
2) Ród kawalerów miał być szlachecki.
3) Kawalerowie mieli być wybierani z poddanych królestwa Polskiego i w.-ks. Litewskiego i z prowincyi do nich przyłączonych. Miało być jednakże wolno cesarzów, królów, książąt i znakomitych mężów cudzoziemskich, do orderu tego przyjmować, jednakże aby liczba ich 24 nie przenosiła, pozostała ilość aż do 72 prócz panującego, szlachcie krajowéj miała być zachowana. Każdy jednakże cudzoziemiec, (wyjąwszy tylko samych najwyższych urzędników orderów i monarchów) do orderu tego przyjęty, musiał się poprzednio zrzec wszystkich innych kawalerskich towarzystw i ozdób.
4) Naczelnikami orderu tego mieli być królowie polscy, i jeżeli poprzednio już w liczbie kawalerów zamieszczeni nie byli, mieli urząd ten i ozdoby przyjmować w dniu koronacyi.
5) Oznaka kawalerów: łańcuch z czystego złota, bez żadnych kamieni lub pereł, którego cząstki ze sobą złączone, przedstawiać miały na przemian, jedna lilią białą wśród promieni z napisem: In te; druga zaś pęki strzał związanych przepaską białą z napisem: Unica Vertus. U łańcucha wisieć miał krzyż czerwony, w środku którego biały obraz Maryi Panny depcącéj nogami smoka, z témi słowami u góry: Vicisti, vince. Oznaki te kawalerowie dostawać mieli.
6) Nosić je winni byli, wraz z panującym, na wszystkich uroczystościach orderu, to jest: w dzień Nowego roku, Trzech króli, Wielkanoc, Świątki,

Boże ciało i Boże narodenie: także we wszystkie dnie Najświętszéj Pannie poświęcone, osobliwie zaś w dzień Niepokalanego poczęcia, w który do spowiedzi i komunii przystępować byli obowiązani. Nakoniec w dnie ś. Wojciecha, Stanisława, Kazimierza i Franciszka. W inne dnie nosić mieli tylko krzyż mniejszy na białéj przepasce na szyi zawieszony.

7) W dniu uroczystym orderu kawalerowie ubrani podług zwyczaju narodu swego przywdziać mieli na wierzch płaszcz biały dłuższy ze sukna frygijskiego, od lewego ramienia, bardziéj prawe odkrywający, podszyty materyą jedwabną lżejszą koloru purpurowego, którego zwierzchnia część na barki zwieszać się miała. Czapkę także białą mieli nosić, z tegoż samego sukna, podobnież obwiedzioną, któréj wierzchołek złotemi promieniami do połowy czapki sięgającemi miał być wyszywany, część zaś przodkowa miała być ozdobioną wyobrażeniem Panny Maryi, wyrobionem ze złota i srebra. Ten zaś ubiór każdy kawaler własnym kosztem obowiązany był sobie sprawić.

8) Kaplicą tego orderu miał być kościół ks. Bernardynów w Krakowie i kawalerowie tamże ciała swe chować mieli.

9) Urzędników orderu miało być dwóch z liczby tychże kawalerów, to jest sekretarz i podskarbi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Kilka słów o Juliuszu Słowackim.

(Dokończenie.)

W Lilli Wenedzie chciał nam stworzyć poeta Antygonę sławiańską — i zaprawdę ta córa królewska, z wiankiem białych kwiatów na skroni, wygląda niewinnie a posępno. O Lillo Wenedo poskarż się temu, który cię w życie i piękność przyodział, że cię przymusił stąpać po ścieżkach, któremi chadzał biskup Gwalbert. Biskup naszém zdaniem podobny do mnicha dzisiejszego, ale żadnym prawem do owych olbrzymów ducha, co w pierwszych wiekach kościoła tak samo po borach Germanii i Sławiańszczyzny rwali się za pasy z wiarami dzikich plemion, jak dawniéj niegdyś olbrzymy ciała, z potworami natury. Lecz zkąd inąd o biała dziewczyno, podziękuj mistrzowi za braci — patrz! Lillo, wszystkie harfy rodu twojego ogłuchły, wszystkie trumny wasze darń lasów pokryła. Dwa imiona tylko doszły nam uszu, Lelum, Polelum. Oto jedyny dźwięk pozostały z jęków tylu, żebyś ty wiedziała Lillo, co z tą jedyną pamiątką po was wyrabiali uczeni, kronikarze, historycy, pedanci, poeci, — struchlałabyś, drugi raz byś się rozpłakała za całym ludem twoim. Darmo bym ci opowiadał wszystkie ich domysły, twierdzenia, hipotezy, kastor i pollux. Powiedz Lillo! prawda? nie rozumiesz? wiedziałem, wiedziałem o biedna i prześliczna, że te imiona nie obudzą w twoim sercu żadnego wspomnienia! Lecz kiedy wstaniesz z grobu w noc miesięczną, kiedy staniesz na leśném rozłogu cała przejrzysta księżycem, o ty! nieskończona liczbo konwalii w jedną przesnutych dziewczynę — i kiedy spojrzysz mi ciekawie w oczy, a ja ci powiem, że z Lela i Polela wydobył mistrz dwóch starożytnych bohatérów, powiązał ich łańcuchem, kazał im się bić razem, a nierazem umierać, gdy pierwszy poległ, rzucił jego ciało w objęcia brata, i tak obarczony drugim sobą poszedł brat żyjący ku stósowi, na którym wasze wszystko, wasz świat i wiara wasza, w dym się obróciły; wtedy ty się rozrzewnisz w prawdzie pamiątek i krzykniesz nagle: »Tak było, to brat mój!« i odchodząc nazad do grobu dodasz: »niechaj zatém przestanie wyrzekać na mistrza dusza moja, że ją z tym starym Gwalbertem poplątał.« Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonaléj wcielony, najściśléj obrąbiony, jest Ojciec Zadżumionych, choć mu tylko granicą obszar pustyni a formą ciągła także śmierć. Jeśliś widział rysy Laokona, czytając to poema, przypomnisz je sobie. Jeśli ci kiedy włosy wstały przed ugolinem pożerającym czaszkę arcybiskupa w piekle, tu po drugi raz rość ci i drżyć zaczną na głowie, a jednak ani u rzeźbiarza greckiego ani u toskańskiego Gibellina w niczém nie zapożyczył się polski poeta. Oni ból po nad wszystkie bóle, wydali plastycznie. Słowacki, jak zwykle, raczéj następstwem muzykalném niż kamienną postawowatością, a wśród tych poetyckich akkordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, tak zarzynające duszę, że musisz rad nie rad, po każdéj łzie wylanéj, krzyknąć: »wielki poeta!«

Potęga Słowackiego najbardziéj w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki — nim jak przędzą, i z niego, jak z materyału, snuje pasmo swoje całe, poeta. Siła odwcielań panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na wszystkie strony i ku wszystkim stronom. Stylem tym bije ciągle jakby falami o granicę wszech rzeczy, ciągle je podmywa i stara się

odsunąć. Nikt tak smukle, gibko, fantastycko po polsku nie pisał; — pokora, z którą wiersz mu niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo, — na króla nam wygląda, kiedy zacznie mowie polskiéj rozkazować. Biegną k'niemu tłumem, miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną, wić się powoli, a pełzną — wzlecieć, a wzlatują i lecą jak orły. Co krzyków dzikich i niewinnych śmiechów, co łez kapiących i śpiewów radości, co grzmotów rozłożystych i nikłych szmerów, tam, w każdéj chwili, rodzi się — przemija umiera; aż prosi się język o folgi nieco, ale naprożno — mistrz go ujął i nie puści — musi się on pod jego twórczem tchnieniem rozrabiać i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać od prozy, nad którą poetyczniejszéj w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego, co jak nóż ostry pada i utyka w sercu; wszystkie możne dyssonanse on przeprowadzi i rozwiąże — nic mu pod tym względem niedostępnego — nic, przed czémby myślał się cofać — i w tém nigdy nie znać ni pracy, ni wymusu. To natura jego przedziwnie giętka, co wewnątrz ciągłem rozruszona drganiem, na zewnątrz snuje się przegubami. W czarnoksięstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym rzadko kto.

O ileśmy sobie zamierzyli, oceniliśmy dodatnim sposobem dążność i formę tego przecudnego, choć nie we wszystkiém, pisarza. Gdyby kto tę dodatnią krytykę naszą zlał w harmonią z mnóstwem ujemnych, pisanych lub wyrzeczonych o nim, możeby z tego wzajemnego przepojenia, prawdę całą wyprowadził. Zarzucają zwykle Słowackiemu brak całości — mówią, że ducha swego nie ściska dość w karby, że mu żelaznych, rozpoznalnych dość granic nie stawia. Ależ właśnie to wypada z tego, czém on jest, ze specyficznéj jego natury, która odbija jedną z stron wszechświata, — nie rzeźbiarzem, ale muzykiem się urodził; a w téj jego muzyce niesione nótami Betowena, płyną farby Correggia, farby Rafaela. Jeśli wam Michała anioła potrzeba, czemuż go żądacie? czemuż go wyglądacie? wy, wśród których on już się objawił — nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom co ubiegły, a wasz Michał anioł ukaże się wam — jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imie pan Tadeusz, imie drobne i marne samo z siebie, ale wyrażające dla nas prawdziwą epopeę — na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów, dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niéj ztopiły się razem; nie żądajcie zatém, by to, co się już stało, dopiero teraz zaczęło się stawać. Słowacki nie mógł być tém, czém nie jest, tém, co się przed nim odbyło. W logicznem rozwijaniu się sztuki polskiéj on jest drugim momentem, a zatém różnym od pierwszego; idea tylko żywa i mająca daléj się rozwijać, zawiera w wnętrzu swojém rozmaitość i tę objawia zewnętrznie form różnicą. Niechże więc z przypatrowania się i uznawania téj rozmaitości spadnie wam do serca, pociecha, — ona jest znakiem, że pęd jakiś konieczny niesie was naprzód — ona jest objawieniem téj prawdy, żeście nie martwe ciała, ale żyjące duchy — i że idąc po smętnéj drodze świata, w lepszą zasuwacie się przyszłość.

*

Doniesienia literackie.

Wyszedł w Wiedniu pierwszy tom pieśni ludu serbskiego, zebranych przez Wuka Stefanowića Karadżića. Nowe znacznie pomnożone wydanie. Druk i papier piękny. Będą 3 tomy; cena każdego zł. p. 4. Bliższą wiadomość o tych pieśniach późniéj.

Równie wyszły z druku:

Nowy serbski latopis na rok 1840., w Budzie. Zawiera: skice z życia Archimandryta Raicza; spis słów tureckich w serbskim języku znajdujących się; pieśni narodowe serbskie o Jérzy Czarnym, sławnym wodzu Serbów, i o weselu Czernejowicza Iwy; tłumaczenia: 1) z czeskiego: *a*) rozprawki Hanki o ewangielium Rheimskiém, *b*) sprawozdania o najdawniejszych pamiątkach języka czeskich, wydanych przez Szafarzika i Palackiego, przez Kolara, *c*) podróży po Luzacyi przez Sztura; 2) z polskiego: Maciejowskiego o ziemiach i narodach słowiańskich; 3) z rossyjskiego: *a*) Grecza o ruskim języku, *b*) Bułgaryna powieści oswobodzenie Arkony.

Lukiana Muszickogo kniga druga. Skupio (zebrał) Dr. Georgi Muszicki. W Budzie 1840. (kirylickim drukiem). Piękne uczucia, wzniosła poezya.

Pocetak, napredak i vrednost literature Ilirske od Dragutina Seljana u (w) Zagrebu (Agram). 1840. Autor kreśli krótką historyą literatury ilirskiéj.

Ogledalo Iliriuma iliti dogodovstina Ilirii, Slaxonii i t. d. od Ivana Sveara, t. j. zwierciadło Iliryi czyli dzieje Iliryi, Sławonii i t. d. aż do roku 1656. z zesz. 1839.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*